

Jerzy Markowski

MOIM ZDANIEM

### Dolnośląska refleksja.

Zmęczony wypoczywaniem, postanowiłem umęczonej świąteczną pracą Żonie “dać odpocząć”. Zapakowawszy się jak na czteromiesięczny pobyt, postanowiliśmy wyjechać na cztery dni na pobliski i zawsze uroczy i tajemniczy Dolny Śląsk. Lubię ten region, ponieważ obfituje w ślady górnictwa oraz dokonania wielkich rodów, które pozostawiły wiele po sobie również w przemyśle Górnego Śląska. Dla mnie Dolny Śląsk to przede wszystkim przedwcześnie zamknięte przez moich poprzedników wałbrzyskie kopalnie węgla, gdzie natura mnożąc trudności geologiczne strzegła dostępu do doskonałego węgla, często koksowego, a nawet antracytu, który poza tym regionem występował w “oczywiście” zlikwidowanej Kopalni “Gliwice”. Korzystając z wiosennej aury końca grudnia, pojechałem pooglądać do Czech, gdzie ichnie przedsiębiorstwo Diamo, czyli czeski odpowiednik polskiej Spółki Restrukturyzacji Kopalń, likwiduje kopalnie uranu. Przyznać muszę, że byłem pod wrażeniem obchodzenia się z kopalniami przez Czechów. Oni zamykają skoro chcą i muszą, pozostawiając cudowną architekturę przemysłową ku wiedzy potomnym na chwałę poprzedników. My zamykamy kopalnie bo chcemy, chociaż nie musimy, dewastując z zacieklą nienawiścią do górnictwa wszystko ku niewiedzy potomnych, pogardzie dla poprzedników i hańbie dla współczesnych. Czesi inaczej, po czesku obchodzą się z kopalniami w przygranicznym Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim, gdzie wiele nieczynnych już kopalń węgla nadal istnieje, przynajmniej na powierzchni, bowiem pod ziemią węgiel się skończył, a tam gdzie jeszcze trochę go jest to przedłużają jego wydobycie o kilka lat korzystając z niespotykanej koniunktury cenowej na węgiel. Przykładowo w sąsiadującej z zlikwidowaną w 1998 roku Kopalnią “Morcinek” po stronie polskiej, należącej do OKD (Ostravsko-Karvinskie Doly), czeskiej Kopalni CSM. My, jakbyśmy żyli w innym świecie, likwidujemy ze szczególną pasją kopalnie w których pozostały bogate wielomilionowe zasoby niewydobyczego węgla, dewastując z barbarzyńską pasją nowoczesną infrastrukturę czwartej najmłodszej w Polsce Kopalni “Krupiński” w Suszcu. Można by rzec - granica na Olzie granicą rozsądku.

Wracając jednak do refleksji z Dolnego Śląska, sięgnę po symbolikę równie współczesną, ale w pierwszym przypadku dramatyczną, w drugim nawet zabawną. Obie refleksje objawiły się w niewielkim hotelu, w którym się zatrzymaliśmy. Od wejścia do recepcji po restaurację, rzucał się w oczy brak mężczyzn, same kobiety. Obserwacja stała się bardziej oczywista kiedy mogliśmy rozmawiać, wszystkie mówiły z silnym akcentem wschodnim bo były Ukrainkami. Obecność Ukrainek w kuchni zwiastowała dobrą ukraińską kuchnię obfitującą w barszcz, uszka i pasztety. Ale było coś zgoła dramatycznego. Kilka razy widziałem te Panie płaczące w zaułkach hotelu. Zapytałem dlaczego. Pierwsza odpowiedziała, że właśnie odebrała wiadomość, że rodzice musieli uciekać z domu i nie wie gdzie się udali. Druga odchodziła od zmysłów, bo od tygodni nie ma kontaktu z mężem który pozostał na froncie. Kolejna, bardzo słabo mówiąca po polsku i nie lepiej po ukraińsku, ale dobrze w języku którego Ją nauczono w domu, a mnie w szkole, że nie może patrzeć jak marnuje się jedzenie, którego jedną trzecią wyrzuca, z tego co wydaje z kuchni. Jej konstatacja była porażająca - czy Pan wie ile dzieci w Ukrainie zjadłoby ze smakiem to co wy tu

wyrzucacie? Myślałem, że we współczesnej Europie już takiego zdania nie usłyszę, a jednak. I jak, nawiązując do mojego poprzedniego felietonu, nie karcić elit, skoro gardzą ludźmi?!

Druga refleksja znacznie pogodniejsza, zaczęła się od obserwacji parkingu przed hotelem. Prawie wszystkie samochody należące do gości miały niemieckie tablice rejestracyjne. Rzeczywiście, w restauracji słychać było tylko język niemiecki, którym biegle posługiwali się goście, z których niemal wszyscy byli starsi niż ja, a to znaczy może mniej niż pokolenie Ramzesa, czy nawet Bismarcka, ale już na 100% Beatlesów. Słyszając wyłącznie język niemiecki, żona skwapliwie zrezygnowała z moich usług tłumacza, co okazało się profilaktyką przedwczesną podczas ostro zakrapianej piwem i wódką kolacji. Okazało się bowiem po kilku "kolejkach", że właścicielom obco-numerowanych tablic rejestracyjnych na samochodach, najlepiej szło śpiewanie śląskich piosenek, oczywiście po polsku, bo przecież ani "szła dziewczeczka", ani "Karolinka" nigdy nie były tłumaczone na żaden inny język.

Podczas tego wieczoru w dolnośląskim hoteliku, przypomniała mi się jedna z moich licznych wizyt w istniejących jeszcze w latach 80. i 90. ubiegłego stulecia kopalniach węgla w Północnej Westfalii-Nadrenii. Jako górnik, co widać i słychać, zaproszony zostałem na biesiadę piwną środowiska górniczego. Po zjedzeniu kiełbasek z bułką i musztardą, wodzirej starszy nadsztygar z Kopalni "Prosper-Haniel" w Bottrop, na sali w której słychać było tylko język niemiecki, zarządził orkiestrze ostre werble i ogłosił, oczywiście po niemiecku, "Teraz chłopcy wstajemy z kuflami i śpiewamy jak zawsze "ein, zwei, drei", i teraz już po naszymu, "niech żyje nam górniczy stan". I znowu wszyscy umieli po polsku. Po tych wszystkich współczesnych dolnośląskich doświadczeniach, pozostaje konstatacja, że wojny są tam gdzie są granice. Zatem nie wyznaczajmy granic - łatwiej będzie przeżyć.